

Do Akademii Nauk – Instytut Biologii

W czasie sierpniowego urlopu, który spędziliśmy z żoną nad morzem, byliśmy świadkami niezwykłego zjawiska. Jak sądzę, zainteresuje ono Akademię. Może członkowie Szanownej Akademii będą potrafili wyjaśnić mi ten fenomen. Wiedząc skądinąd, że wszelkie okoliczności towarzyszące mogą być istotne dla wyjaśnienia wyżej wymienionej sprawy, postaram się wiernie wszystko opisać.

Następny dzień miał być ładny. Cały sierpień lało bez przerwy, niż wiał nad Europą Środkową, jakbyśmy mieli nie lato, ale koniec listopada. Spodziewaliśmy się jednak pogody, ponieważ wieczorem, gdy spacerowaliśmy w pelerynach brzegiem morza (wszyscy z naszego Domu Wczasowego spacerują wieczorem brzegiem morza bez względu na pogodę), pewien rybak poinformował nas o tym. A rybacy tutaj wiedzą, co mówią. Resztę wieczoru spędziliśmy przygotowując sobie wyposażenie na plażę. Ja czyściłem maskę do nurkowania i wytrzępywałem talk z dwóch par płetw, a żona przygotowywała olejki do opalania. Zdobyła jakąś cudowną emulsję, podobno opala w błyskawicznym tempie i nadaje skórze piękny połysk, i wypróbowała swoją chińską papierową parasolkę – ochronę od słońca. Przyjechalśmy prawie dwa tygodnie temu, a bladzi byliśmy jak przed wyjazdem z Warszawy.

Tak więc rano powitał nas słońcem. Zapakowałem wszystko do samochodu, także ponton, i udaliśmy się w kierunku plaży. Na parkingu mieliśmy małą awanturę ze stróżem. Żądał, abyśmy zapłacili 10 złotych, mimo że na cenniku figurowało 5 złotych. Motywował

to liczbą osób. Podobno tak się teraz oblicza. Gdybym żonę wysadził przed parkingiem i podjechał sam, zapłaciłbym tylko 5 złotych. Czy to nie skandal? Poiryutowani wchodziliśmy wąskim przejściem na plażę. Mimo że trochę dmuchało, gorąco było strasznie, cały się spościłem. Tym bardziej że musiałem dźwigać wszystkie rzeczy, łącznie z pompką, bo żona rozglądała się za listkiem na nos.

Tuż przy wejściu spostrzegliśmy mnóstwo jednakowych koców i opalające się dzieci z kolonii. Musiała to być najmłodsza grupa, bo dzieci wyglądały na 7–8 lat. A może po prostu były niedożywione. Jeżeli któryś z panów był nad morzem, orientuje się, jaką plagą są kolonie. Człowiek zwykle stara się położyć jak najdalej. Tym razem to było niemożliwe. Pierwszy pogodny dzień, w dodatku niedziela – plaża wydawała się zatłoczona do niemożliwości. Dosłownie koc przy kocu. Nie wściubi szpilki, jak mówi moja żona. Koło dzieci z kolonii było puścic i tam się właśnie ulokowaliśmy. Trochę czasu zajęło nam rozkładanie rzeczy, pompowanie pontonu, tak że gdy sobie z tym poradziłem i mogłem wreszcie kremem natrzeć żonie plecy, była już godzina jedenaasta.

Dzieciaki były, oczywiście, nieznośne. Jakaś bieżanina, krzyki; bawiły się piaskiem i sypały go żonie na świeżo nasmarowane plecy. Żona kazała mi porozmawiać z wychowawczynią, ale wytłumaczyłem jej, że przecież w końcu dzieciaki też mają wakacje i że takich rzeczy nie da się na plaży uniknąć. Przez chwilę patrzyliśmy razem na dokazującą dzieciarnię. Jakaś dziewczynka obsypywała inne

piaskiem, dwoje dzieci siłowało się na kocu, a jasnowłosy chłopczyk, trzymając na palcu owada, powtarzał wierszyk:

*Biedroneczko, leć do nieba
Przynieś mi kawałek chleba.*

Obok troje dzieci skupiło się wokół czwartego, trzymającego coś w dłoni i mówiło ten sam wierszyk.

Potem żona postanowiła się wykąpać. Na długo zniknęła wśród barwnych kostiumów i gumowych materaców, aż zacząłem się niepokoić. Gdy wreszcie wróciła, przyniosła z wody

muszelki, które starannie zapakowaliśmy w watę. Opalałem się już na dobre, zamierzałem uciąć drzemkę, kiedy wyciągnęła do mnie paluszek:

- Popatrz kochanie, biedronka.
- Rzeczywiście. Może zobaczymy, ile ma lat?
- Ma trzy kropki na jednej połowie i trzy na drugiej.
- I jedną na środku.
- Czy liczą się wszystkie kropki, czy tylko te z jednej połowy? - zapytała żona.



– Tylko te z jednej – odpowiedziałem, chociaż nie wiedziałem na pewno.

– To ta ma trzy i pół roku, jest jeszcze całkiem młodziutka!

– U biedronek to się liczy inaczej – zacząłem wyjaśniać, ale żona mnie nie słuchała.

– Popatrz, kochanie, i tam biedronka, i tam...

– I tam – odpowiedziałem, bo też zauważyłem pełznące po piasku stworzonko.

– Słuchaj, kochanie, coś mi łązi po plecach. Zdejmij to, proszę.

– To tylko biedronka. Popatrz, ma cztery łatka.

– O Boże, znowu coś łązi!

– Skąd tu się wzięło tyle biedronek? – zapytałem.

Nagły powiew wiatru rzucił mi w twarz kilka przelatujących owadów.



Wyplułem dwie biedronki, które dostały mi się do ust i rozejrzałem dookoła. Na plaży od kilku chwil trwało niezwykle ożywienie. Ludzie wymachiwali ręcznikami; słychać było histeryczny krzyk jakiejś kobiety. Biedronek robiło się coraz więcej. Żona zerwała się i zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami. Nic to widocznie nie pomogło, bo po chwili zerwała z siebie stanik i zaczęła wytrzępywać biedronki z jego wklęsłości i fałdek. Teraz i ja poczułem się zaniepokojony. Sympatia, jaką zwykle odczuwamy na widok miłego stworzonka w kropki, zmieniła się w obrzydzenie. Już na całej plaży trwała walka. Słychać było trzask chitynowych pancerzyków i przekleństwa. Wkrótce pierwsi wczasowicze zaczęli uciekać. A biedronek ciągle przybywało. Chciałem jeszcze zaczekać – ciekawy byłem, do czego to doprowadzi, a poza tym było mi wstyd rejterować przed głupimi biedronkami, ale żona zebrała rzeczy i pobiegła do wyjścia. Poszedłem za nią.

W samochodzie było duszno i gorąco, ponieważ szyby musieliśmy podnieść. Jechać oczywiście nie mogliśmy, gęsta chmura biedronek sprowadziła widoczność do zera. Włączyłem wycieraczki, które z trudem zgarniały to robactwo z przedniej szyby. Co pewien czas słychać było przekleństwo – to któryś z uciekających plażowiczów wpadał na samochód. Z niepokojem myślałem o tym, jak długo potrwa niespodziany kataklizm. To nic, że nie zdążymy na obiad; mieliśmy ze sobą kanapki, ale co będzie, jak to nie skończy się do wieczora?! Na szczęście, wydawało się, że najgorsze już minęło. Przez szyby samochodu można było zobaczyć najbliższe drzewa i kiosk „Ruchu”. Na tylnym siedzeniu żona zanosila się płaczem, a we mnie odezwała się pasja badacza. Nałożyłem maskę do nurkowania, owinąłem się w koc i wyszedłem. Rzeczywiście, było już dużo jaśniej. Ruszyłem w stronę plaży.

Na plaży nie było już nikogo, tylko na samym środku, tam mniej więcej, gdzie przedtem biwakowała kolonia, leżał ogromny bochen chleba. A biedronki już odlatywały.

No, i co Panowie o tym sądzą?